



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.





ZABYTKI PRZEDHISTORYCZNE W OKOLICACH OJCOWA i MIECHOWA. 3)

Jaskinie wąwozu Korytani: główna albo potrójna (zawierała szkielet ludzki z czaszką), kilka schronisk w tychże skałach, a naprzeciwko na górze Pogorzelsku dwa schroniska, górne i dolne, dostarczyły mnóstwa zabytków neolitycznych.

Jaskinia Krowia przy Bramie Krakowskiej tuż nad rzeką, w namule gliniastym nie zawierała żadnych zabytków prócz drobnych kości zwierzęcych. Inne liczne jaskinie i schroniska w wielkim wąwozie Bramy Krakowskiej nie zostały dotychczas zbadane.

Jaskinia Łokietka na górze Chelmówce, przy wejściu głównym na lewo w namule szaroziemistym zawierała duże ognisko, złożone z warstewek popiołu i gliny, przepalanej na kolor ceglasto-czerwony, koło niego narzędzia i okrzeski z krzemienia, skorupy z naczyń w ręku lepionych, oraz kości zwierzęce całe i łupane. W samym końcu głównego korytarza tej jaskini w jamce bocznej znalazł się nożyk krzemienisty. Oprócz tych dwóch miejsc przy wejściu i w końcu jaskini, rozkopanych przeze mnie na próbę, zbadalem jeszcze w komorze wielkiej dolnej przy schodach drewnianych tam wiodących po obu ich stronach dwa przykomórki. Lewy przykomórek mniejszy obejmował liczne luźne kości, żuchwy, kły, zęby i dużą czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego (*Ursus spaeleus*). Prawy przykomórek większy, którego wejście niskie zajmowała gruba warstwa stalagmitu wapniowego, zawierał w namule ziemisto-gliniastym również liczne kości długie, kręgi pacierzowe, żuchwy, kły i zęby niedźwiedzia jaskiniowego, oraz liczne stalaktyty kopalne różnej wielkości. Największy z nich, postaci głowy cukru, złożony został w muzeum zamkowym Ojcowa.

Schronisko przy jaskini Łokietka, po lewej stronie jej wchodu, zawierało w grubej warstwie czarnoziemiu trzy ogniska, złożone z popiołów i warstewek gliny przepalanej na kolor ceglasto-czerwony, oraz mnóstwo wyrobów z krzemienia, kości, nieco też z brązu i żelaza.

Dziurawiec nad Mokrym Dołem, na południowym stoku Złotej góry,

na lewym brzegu rzeczki Saspówki, zbadany przeze mnie częściowo przy wejściu w lecie 1910 r., w namule gliniasto-ziemistym nie zawierał żadnych zabytków; przekopanie całego namuliska głębiej byłoby tu bardzo pożądane.

Schronisko w Górczynej Skale, znacznie dalej na północ od góry Zamkowej położone, tuż przy rzece na prawym brzegu (obok wejścia do wąwozu, wiodącego do leśniczówki Dąbrowy) w namule ziemistym, oprócz odłamków wapienia i kości świeżych, nie zawierało żadnych zabytków.

Dalej za Ojcowem, w górę rzeki w dolinie Prądnika, na jej zboczu lewym, przy drodze do Grodziska i Pieskowej Skąły, znajduje się jeszcze kilkanaście małych jaskiń i schronisk, z których dotychczas jedna tylko została zbadana, tak zwana Jaskinia Lisia, na południe od zamku Pieskowej Skąły, nad łąką, ciągnącą się od Skąły Sokolej w skałach Wernyhory, w pobliżu drogi do Ojcowa. W r. 1909, po rozkopaniu namułu gliniastego obok okruchów wapienia, znaleziono tam jedynie rozmaite kości zwierzęce, przeważnie lisie, które złożono w muzeum zamkowym.

Za Pieskową Skalą, we wsi Sułoszowej, coraz mniejsze obnażenia skał jurskich obejmują tylko niewielkie schroniska, np. na Paskowych dołkach, na gruncie Jana Paska i t. p., które jeszcze dokładniej badane nie były.

Z przeglądu powyższego widać, że już kilkadziesiąt wielkich jaskiń i schronisk pomniejszych w okolicach Ojcowa zostało zbadanych i opisanych, niemniej jednak kilkadziesiąt jeszcze oczekuje na bliższe rozpatrzenie i poszukiwania ściśle naukowe. Mianowicie dużo jeszcze do zrobienia pozostaje na zachód od rzeki Prądnika w dolinie jej dopływu Saspówki i jej wąwozów bocznych, jak: wielki wąwóz Jamki z mnóstwem dużych jaskiń, wąwóz Koziarni, wreszcie dalej na zachód w dolinach rzeczek Bętkówki, Raclawki, oraz w ich bocznych wąwozach.

Z jaskiń i schronisk podskalnych, zbadanych przeze mnie w dolinie Prądnika, wskazanych po-



wyżej, opisane zostały wraz z zabytkami w nich znalezionymi następujące:

„W Materiałach antropologiczno-archeologicznych” Akademii Umiejętności krakowskiej: „Jaskinia Okopy wielka” (r. 1901), „Schroniska na górze Okopy” (1902), „Jaskinie wąwozu Korytaniai” (1904).

W „Pamiętniku fizyograficznym” warszawskim: „Jaskinia górna w Okopach” (1902 r.), „Jaskinie i schroniska na Górze smardzewskiej (1904).

W „Światowicie” warszawskim: „Jaskinia borsucza” (r. 1901), „Jaskinie okolic Ojcowa”, wykaz ogólny z mapą topograficzną (1899 r.).

W „Roczniku Towarzystwa przyjaciół nauk” poznańskiego (t. XXXIV): „Schronisko w Krzyżowej skale” (1908).

W tygodniku „Naokoło Świata” (nr. 48 r. 1903): „Jaskinia przy Krakowskiej bramie”.

W „Wiadomościach numizmatyczno-archeologicznych” krakowskich: „Grodzisko na górze Okopy” (r. 1902).

W „Wędrowcu” warszawskim (nr. 9 i 10, r. 1901): „Jaskinie okolic Ojcowa na górze Okopy” z planem i 7 widokami.

Z poszukiwań i badań w okolicach Miechowa drukowano dotychczas, jak to już nadmieniono, jedno sprawozdanie o siedzibie przy źródłach Miechówki, p. n. „Wykopaliska miechow-

skie” z 9 tablicami i ogólną mapą siedzib przedziejowych tej okolicy w „Materiałach antropologiczno-archeologicznych” Akademii Um. krakowskiej z r. 1907. Opis poszukiwań i miejscowości innych siedzib przedziejowych, zbadanych przeze mnie w Miechowskim, przygotowano do druku, a mianowicie co do siedzib: na Stawnej górze, we wsiach Siedliskach, Petroszycach, Józefowie, Strzeżowie, Szczepanowicach, Jaksicach, Iwanowicach i pod Słomnikami.

Takież sprawozdania z poszukiwań w jaskiniach doliny Prądnika w okolicach Ojcowa nieogłoszone jeszcze przygotowano do druku z odpowiednimi planami i widokami fotograficznymi. Dotyczą one jaskiń: w Kopcowej skale, w skałach Ogrójca, w wąwozie Stodoliskach, za skałą Rękawicą w tunelu Oborzysko wielkie, schroniska sąsiedniego Oborzyska małego, Schroniska dolnego u stóp Góry Koronnej, wreszcie jaskini Łokietka i schroniska przy wejściu do niej, oraz kilku jam pomniejszych na lewym brzegu Prądnika, wyszczególnionych powyżej.

Wszelkich objaśnień, dotyczących badania zabytków przedhistorycznych w okolicach opisanych, udziela osobiście lub piśmiennie czł. korespondent Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Miechowie niżej podpisany

St. J. Czarnowski.



Pamiętki polskie w Padwie. 2)

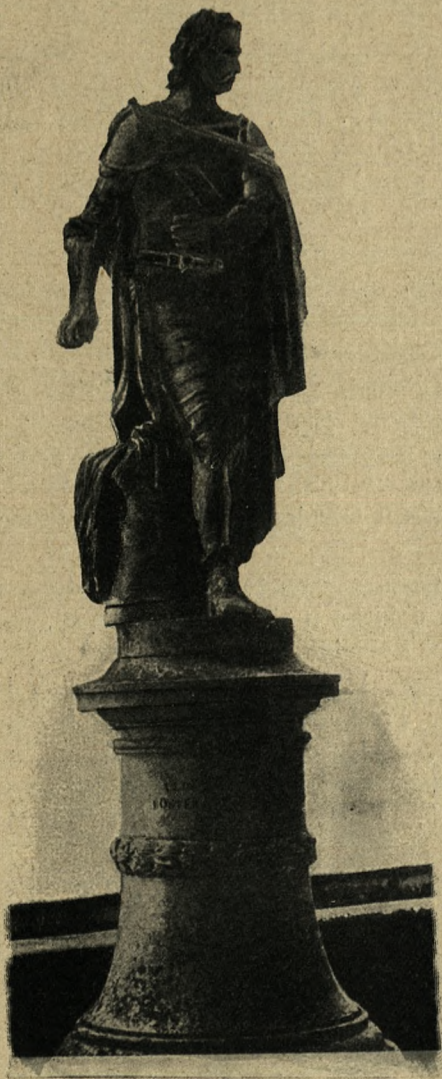
Gdy mazurska dusza przejedzie x+75 tuneli alpejskich i wydostanie się na równiny Lombardyi z piersi jej wyrwa się głębokie aa... ulgi i zadowolenia: czarujące widoki górskie, zamknięte jednak zewsząd ścianami skał, więźą przyzwyczajone do równin oko, nużą je i gnębią.

Zielone pola Lombardyi mimo swą południową roślinność bardzo w ogólnej sylwecie przypominają daleko na północy zostawioną nizinę polską i dlatego tak tam jakoś czuje się swojsko.

Zwłaszcza okolice Wenecyi, a najbardziej mo-

że droga z Wenecyi do Padwy, mają ten dziwnie podobny do naszego charakter krajobrazu, sprawiając polskiemu sercu wiele przyjemności. Tam tedy można urządzić sobie „polskie popołudnie”.

Na Riva Schiavoni obok pomnika Emanuela, gdzie skrzydlaty lew św. Marka z rozmachem zrywa kajdany austriackie, napis na małej przystani wskazuje: Tramvia Elettrica Venezia Padova. Małe vaporeto zabiera podróżnych do Mestre, stacyi tramwajowej. Vaporeto przepływa 5 kilometrów przez port Wenecyi, gdzie duże statki wyladują



POSĄG STEFANA BATOREGO W PADWIE.

swą zawartość, a liczne parowce, greckie, dalmackie, tureckie, stwierdzają dawne tradycje weneckiego handlu na Lewancie.

Na vaporecie sprzedają bilety. Bilet do Padwy 90 centymów, jednak z lira wydają tylko 5 centymów reszty. Na moją opozycję informują mnie, że to governo (rząd) nałożył podatek na bilety. Jako rodowity warszawiak natychmiast sporkorniałem i uznałem rację, bo wszystkie governa zawsze mają słuszność, a takie różne nadpłaty nie tylko we Włoszech się trafiają.

Dwa wagony czyste, jasne, miłe czekają w Mestre, a zabrawszy pasażerów vaporeta, mkną szybko na południe po zielonej równinie pastwisk i łąnów kukurydzy ku odległej stąd o 35 klm. Padwie.

Od małej stacji Malcontenta rozpoczyna się szereg pięknych rezydencji letnich dawnego patrycyatu Wenecji. Ciasne, nie koniecznie pachną-

ce miasto na czas letnich upałów wyludniało się z młodych panów i pań, którzy używali rozkosznych wczasów letnich w wioskach, położonych przy drodze do Padwy.

Szereg tych rezydencji ciągnie się całe 35 klm. aż pod same mury padewskie, a zadziwiająco przypomina szereg dworów polskich: brama od drogi, gazon do objazdu i pałac czasem piętrowy, często parterowy z gankiem na kolumnach, kryty dachówką, zdobny w wazony lub popiersia, koło pałacu park, w którym rosną amerykańskie sosny, modrzewie, świerki i topole włoskie; niema tu ani pinii, ani cyprysów, ani palm, ani kaktusów. Za pałacem zabudowania gospodarcze: stajnie, wozownie, mieszkania służby, brogi, stogi, spichlerze; słowem każdą taką sadybę można przenieść w całości w Płockie czy Łomżyńskie i będzie ona tam tak na swoim miejscu, jak i tu przy tej drodze.

Bo też dużo analogii było między losami i stosunkami tych dwu rzeczypospolitych. Polska północna a Wenecja południowa ogniwo obronnego muru Europy przed zalewem tureckim, obie mają dzieje wypełnione walką z potęgą otomańską.

Nazwiska owych Loredanów, Dandolów, Contarinich, Morosinich, Mocenigów tyleż były dla Stambułu groźne na morzu, ile Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Sobieskich, Potockich, Sapiehów, Tarnowskich na lądzie.

Obie rzeczypospolite wybierały sobie na elekcyach dożywotniego władcę, który choć obrany z woli narodu, pisał się jednak „Dei gratia”. Obie rzeczypospolite były właściwie zbiorowiskiem oligarchicznym, gdzie patrycyat wenecki ciągnął swe soki żywotne z handlu, a optymaci polscy z roli; obie wreszcie w końcu XVIII wieku utraciły swą niezawisłość polityczną.

Takie mi się snuły myśli, gdy tramwaj przebiegał koło tych rezydencji, zdobnych w tarcze herbowe, a te zielone równiny, gdzie gęsto rosną wierzby i ciągną się długie aleje kasztanowe, gdzie łąny kukurydzy żywo przypominają nasz koński ząb, gdzie wino rzuca się po drzewach, jak u nas chmiel, gdzie droga biegnie wzdłuż kanału Brenty, a po nim spokojnie pływają stada gęsi i kaczek; wszystko to niezmiernie żywo przypominało mi moje mazowieckie równie.

Z domków dróżniczych wychodziły z zieloną chorągiewką dróżniczki — zupełnie jak u nas — w takim położeniu, że budziły o siebie niepokój. Bo niewiem dlaczego, taka pani z sygnałem zawsze wygląda niepokojąco i zawsze pragnie się jej powiedzieć „moja Wojciechowo (a tu—signora Francesca lub Rosita) idźcie do domu i uważajcie na siebie, przecież wam potrzeba spokoju”. W połowie drogi przyszedł kontroler, który miał w sobie tyleż majestatu, co nasi kontrolerowie: nie mówił ani słowa,



twarz miał kamienną, a dziurki robił z taką godnością, jakby od jego dziurki zależał los komunikacji wodnych i lądowych w całym państwie.

Te wszystkie warunki coraz silniej budziły we mnie wspomnienie ojczyzny i oczekiwałem chwili, kiedy któryś z pasażerów zwróci się z reklamacją: „kanduktor, kak wi smiejecie ka mnie obraszczat'sia i t. d.”. Tak, rzeczywiście, brakowało tylko ojczystej mowy, aż na małej stacyjce i to usłyszałem: z sąsiedniego okna wołano: „halb kilo śliwki tre po dziesięć, bene?” Rodaczka! Nie, to były dwie rodaczki „ode Lwowi”. Zajadając śliwki, starsza rodaczka zaczęła wykladać młodszej powody, dla których musiała się rozejść z mężem, a że zwierzenia weszły na teren niezmiernie poufny, zmuszony byłem zaznaczyć, iż ktoś rozumie ich pogawędkę, i przy silniejszym rzucie wagonu zakląłem: psia krew! Po tem wszechpolskiem zawołaniu rodaczki „ode Lwowi” zaczęły szeroko rozmawiać o pogodzie i upałach.

Szybko przebiegł tramwaj swą drogę, i oto już Padwa, ta pierwsza wielka i sławna uczelnia, którą spotykali młodzieńcy nasi za Alpami. Ileż tu polskich nazwisk na ścianach starożytnego uniwersytetu! Uprzejmy custode wśród chaosu tarcz herbowych i napisów wskazuje mi wspomnienia po polakach. Oto „Kristoforus Sobiekurski”, „Ignatius Komorowski a Komorów”, „Georgius Szornel de Popkowice”, „Andreas Naruszewicz”, „Johannes ab Ozorkow Szczaniński”, „Aleksander Nicolaus Comes de Tenczyn Ossoliński”, „Joannes Grapowicki”, oto „Jo Sario Zamość” z długim łacińskim napisem i herbem Jelita, cały szereg świetnych imion, co przez parę wieków dążyły po wiedzę pod błękitne niebo Italii, gdzie wolna nauka rozwijała szerokie swoje skrzydła. Te żaki krakowskie stały tu przed istniejącą do dziś ubogą drewnianą katedrą Galileusza, słuchały tu wykładów Kopernika, co żakowskie suknie jagiellońskiej uczelni zamienił na dostojną togę profesora padewskiego. Tu się kształcili luminarze zygmuntońskiej doby, a do dziś przewodnik po Padwie z dumą zaznacza, że wychowawcami uniwersytetu byli „due re di Polonia”.

Na wielkim placu Prato della Valle przed bazyliką S-to Giustino ustawiano szereg posągów wybitnych wychowawców Padwy. Wśród tego pantheonu stoją też i „duere”: „Stefano Batoreo” i „Joanni Sobieskio” zmanierowane figury Jana Ferrari'ego, ustawione w 1784 i 1789 r. przez Stanisława Augusta.

Tak więc kultura polska wiele zawdzięcza przastarej uczelni, słusznie więc na katedrze Galileusza wśród wieńców hołdu jubileuszowego widnieje też wieniec o biało ponsowych wstęgach z napisem: Polonia.



POSĄG JANA SOBIESKIEGO W PADWIE.

Dużo polaków kończyło tu studia, wielu jednak kończyło tu swe życie i tych chowano w jednej mogile pod ołtarzem w bazylice.

Gmach to olbrzymi, otoczony wieńcem kaplic i ołtarzy. Przechodzi się tu od rzeźb Sansovina i Tullia Lombardo do bronzów Donatella i fresków Mantegni i Giotto. Oglądając poszczególne kaplice i ołtarze, czytając napisy, niespodzianie i nie wierząc sobie odczytuje się napis: „przed Twe ołtarze zanosim błaganie”. Ścisnęło się gardło, w oczach zakłęciły się łzy. Artystycznie kuta krata, na niej orły białe, a u spodu herby Warszawy, Lwowa, Krakowa i Wilna. U góry biegnie napis.

Przyjmij ofiary synów polskiej ziemi
Świeć wiekuiście nad braćmi zmarłemi.

Na ścianach męczeństwo św. Stanisława malował Tadeusz Popiel. W ołtarzu św. Stanisław, a na sklepieniu całe świętych polskich obcowanie.



Niżej trochę tablice grobowe: „Erazm Kretkowski, wojewodzie Brzeski, kasztel. Gnieźnieński z r. 1558, podróżnik do Egiptu i Indyi”, „Aleksander, Kazimierz i Krzysztof Sapiehowie”, po lewej stronie ołtarza bardzo ładna rzeźba w białym marmurze na tablicy Karoliny z hr. Woynów ks. Jabłonowskiej, „która znalazła spoczynek i ojczyznę pod tym ołtarzem”. Wreszcie z boku ołtarza, w cieniu i zbyt skromnie ustawione popiersie króla Jana z napisem „Ku czci i pamięci króla Jana III pomnik ten ze składek rodaków staraniem O. Szymona Łasia Franciszkanina Antoni Madeyski wykonał w r. p. 1905.”

Pamiętki polskie znajdują się nie tylko w obrębie kaplicy polskiej; i na ścianach krużganków, otaczających wirydarze klasztorne, rzucają się w oczy znane herby i znane nazwiska. Tu duża tablica, opiewająca cnoty Andrzeja Kańskiego, tam pod herbem Łabędź uczczona pamięć „Julio... Jos. F. Dunin Wąsowicz Polono Comitū inveni, ingenii, celeris, indolis...”

Takie cudne polskie popołudnie można zrobić sobie w dolinie Brenty, o której od małego dziecka słyszało się... „po dolinie Brenta płynie, po niej płynie cień gondoli, z szumem wiosła fala niosła tęskną nutę barkaroli”.

Słońce zachodzi już, gdy vaporeto wraca pod pomnik Wiktora Emanuela. Skończyło się piękne popołudnie polskie. Na placu św. Marka rojno, gwaro, wesoło a grzecznie. Piękny tenor z brawurą i uczuciem śpiewa południową pieśń: „senza amor non possono vivere!”—tak tu dziwnie wesoło, pogodnie, życzliwie. Jakaś otyła dama

głośno użala się towarzyszowi na panujące tu „bezporiadki”. Rzeczywiście, to wszystko jest tak dalekie od „porządków”, że aż się serce cieszy.

Ale żeby to odczuć i zrozumieć, trzeba mieć w sobie, proszę pani, kulturę romańską, trzeba przejść cudny okres humanizmu, trzeba, żeby od wieku XII t. j. lat 900 rodacy pili z boskich źródeł wiedzy Padwy czy Bolonii, a Jerozolimę Wyzwołałą trzeba mieć przełożoną zaraz po wyjściu oryginału. Trzeba wczuć się w duszę tego ludu, który jest wesoły i radosny bez podniety alkoholem, który jest grzeczny, bo ma za sobą 3000 lat kultury, a nade wszystko trzeba mieć, proszę pani, radość i pogodę we własnej duszy, któraby miast bezbrzeżnej melancholii i „unynja” umiała cieszyć się życiem i pogodą.

Tylko taka dusza może odczuć ten lud pogodny i zdolny upoić się inwokacją Bolka z „Sokoła” Grabowskiego.

...,Przez alpejskie szczyty

Podajmy sobie dłonie ramieniem pamięci,
Niech się sojusz młodości nieśmiertelny święci.
Apollinowy wieniec z róż i laurów wity
Wieńczy nam skronie...

Kwilnien orłów z chaosu zrodzona
Wilczycy dzikiem mlekiem wykarmiona
Kuźnico czarów, największy bolidzie
Jaki się rozprysł na gwiazdowym torze,
Deszczu dyamentów w wszelakim kolorze
Italio cudna, ziemio święta
Dank tobie niosę i memento!“

Al. Janowski.



Z przeszłości Nałęczowa. 4)

Z pamiętek, pozostałych po wojewodzie mazowieckim i jego małżonce — Konstancyi z Działyńskich, oglądać dziś można w pałacu pokoik, w którym nocował król Stanisław August, w powrotnej swej podróży z Kaniowa 1787, oraz pagórek, zwany „gó r ą P o n i a t o w s k i e g o”. Według tradycji miejscowej, podejmowano tu króla podwieczorkiem, wybierając na miejsce przyjęcia wzgórek ponad łąką, nieopodal pałacu, skąd malowniczy roztacza się widok na kościół i dolinę. Drogę na wzgórek skopano w

tym celu dokoła ślimakiem, a żeby udogodnić nań wejście 1).

W lat kilka później Nałęczów podejmuje orszak weselny z powodu zaślubin wojewodzianki Konstancyi Małachowskiej, oddającej rękę

1) Wiadomo, że król jechał do Kaniowa na Piotrowin, Opole i Bełżyce, w dniach 2—3 marca, wracał zaś z Kaniowa w czerwcu tegoż 1787 roku. Wobec tych danych pobyt króla w Nałęczowie mógł mieć miejsce tylko w czasie podróży powrotnej.



kę p. Pawłowi Biernackiemu, kasztelanowi siedleckiemu¹⁾.

W r. 1796 umiera Antoni hr. Małachowski, wojewoda mazowiecki, kawaler orderów: Orła białego i ś. Stanisława, w wieku lat 56,—„Acolator eclesiae sepultus in Tumulo Fundatorum”—gdzie spoczywał do r. 1850. Zamieszczona na marginesie wzmianka wskazuje, że „Die 18 Februarii 1850 a. translatus in Tumulum poen Ecclesiam Borkoviensiam”. Wkrótce po nim spoczęła tam i małżonka jego, Katarzyna z Działyńskich, gdyż w r. 1803 dobra wymieniane są jako własność jej sukcesorów.

Własności lecznicze wód żelazistych pod Końskimi,—na które zwrócił uwagę ogółu zamilowany górnik, kanclerz Hyacent Małachowski, brat rodzony właściciela Nałęczowa, i wiadomości te podał w tłumaczeniu z jego polecenia dzieło Courtivrona o rudzie żelaznej²⁾,—były przyczyną, że i tutejszymi wodami żelazistymi baczniej się zajęto. Kiedy, w którym roku zaczęto leczyć się nimi, trudno dziś ściśle oznaczyć; wiadomo tylko, że już w pierwszych latach ubiegłego stulecia były zalecane chorym, a w roku 1807 szukał tu zdrowia stary książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, w tej epoce księciem feldmarszałkiem (austriackim) nazywany, dojeżdżając codziennie z sąsiednich Bronic, gdzie na czas przyjazdu w zaprzyjaźnionym ze sobą domu Dembowskich³⁾ zamieszkiwał. W tymże czasie używał tu kąpeli ks. Cieciszowski, wówczas biskup łucki, dla którego według podania miejscowego wybudowano oddzielny domek ponad źródłem, do dziś zwany „dworkiem biskupim”⁴⁾.

W tym czasie wody nałęczowskie nabierają coraz większego rozgłosu. Józef Celiński, „chemii i farmacji professor” wydaje w Warszawie w 1817 roku „Rozbiór wód Mineralnych

Nałęczowskich w wojewódz. lubelskiem, gdzie wskazuje własności tych wód, porównywa je z wodami Godefroi, Spaa, St. Victoria i Reims i tak kończy: „....., ilość żelaza w wodzie Nałęczowskiej prawie równa ilości i w dopiero wspomnianych, a nawet w Altwasserskiej, Flinsberskiej i Reinerckiej. A chociaż 3 ostatnie większą ilość kwasu węglowego zawierają, jednakże gdy do kąpeli muszą być grzane, a tem samem nadmiarowy kwas węglowy utracają, więc po wygrzaniu nie więcej go, niż woda Nałęczowska zatrzymując, inaczej, jak ostatnia na ciało ludzkie skutkować nie mogą“.

Stały wtedy łaźienki i domy dla gości. „Kuryer Warszawski” z r. 1822, taką daje relację o Nałęczowie (№ 26):

„Wody mineralne w Nałęczowie opatrzone zostały coraz większymi wygodami i przyjemnościami. Piękne łaźienki, nowe, na wzór Warszawskich murowane i urządzone. Dom gościnny nowo ukształcony o dwudziestu stancyach; oberża, bilard, restauracya z trunkami i wszelkimi artykułami do dobrego stołu służącemi. Pałac i kilka dworców, do najęcia przeznaczonych. Apteka, ogród, w nowy sposób dla przechodni ukształcony, oślice dla mleka sprowadzone i serwatka w tymże sposobie jak i w Reinerz urządzone; wszystko to stanowi wygody miejsca tego...” Artykuł ów kończy się wzmianką, że „protokół starannie utrzymywany świadczy, ilu już chorych doznało skutecznej pomocy, ile te krajowe wody są użyteczne”.

W artykule „Krótki rys historyczno-statystyczny Województwa Lubelskiego”, umieszczonym w „Nowym Kalendarzyku politycznym na rok 1829”, znajdujemy znów wzmiankę o wodach nałęczowskich: „w Nałęczowie, wsi porządnej, należącej do rodziny Małachowskich, skuteczne na reumatyzmy, a jak wielu utrzymuje, iż są użyteczniejsze od Bardyowskich: wydobywają się one z kamieni z pod wzgórzów. Łazienki ku wygodzie chorych, używających tych wód, są dosyć dobrze urządzone”.

Podobne wzmianki spotykać można w pismach warszawskich owego czasu. Dowiadujemy się z nich również, że Nałęczów posiadał już wtedy stałego lekarza, w osobie d-ra Dysiewicza.

Niebawem przecież, gdy po okresie rozwijającego się w kraju dobrobytu, nastąpił zwrot mniej przyjazny, gdy upadek zamożności odbił się na wszystkich dziedzinach życia mieszkańców,—zakład nałęczowski również zaczął chylić się do upadku. Właściciel ówczesny Nałęczowa, hr. Józef, nie wiele się troszczył o potrzeby zakładu, których może i nie znał, mieszkając stąd zdala. Przybywający na kurację nieliczni chorzy, nie

1) Znana i ceniona autorka z pierwszej ćwiercieszł. stulecia.

2) Tytuł dzieła owego: „Nauka o gatunkach i szukaniu Rudy żelaznej, staraniem Hyacyntha Nałęcz Małachowskiego z francuskiego na język polski przełożona” Warszawa 1782.

3) Rodziców Leona Dembowskiego, za Król. Kongres. senatora kasztelana, w r. 1862 Dyrektora Głównego Prez. w Komisji Sprawiedliwości, (w r. 1831 Ministra Skarbu)—autora „Wspomnień” z końca XVIII i początków ubiegłego stulecia. Za naszej pamięci kasztelan D. był właścicielem sąsiednich z Bronicami Klementowic, które sprzedał w połowie ubiegłego stulecia

4) Według relacji Dembowskiego ks. biskup mieszkał w roku 1807 w pałacu. Możliwe jest wszakże, że i tamte relacje są słuszne, jeżeli pobyt biskupa powtórzył się.



znajdowali tu już ani wygod potrzebnych, ani opieki lekarskiej, i wreszcie do Nałęczowa przyjeżdżać przestano. Budowle, jakie stały w pierwszej ćwierci stulecia, zużytkowano później na cukrownię, która po efemerycznym istnieniu zamknięta została, i znów opuszczone, stojąc pustkami, starzały się coraz bardziej.

Ostatni właściciel Nałęczowa zmarł w r. 1840. Czytamy w akcie zejścia jego co następuje: „13 września... zmarł Józef hr. Małachowski, Dziedzic Dóbr Siemieniec, tamże zamieszkały, syn Antoniego i Katarzyny z Działyńskich, lat 61 liczący, pozostawiwszy owdowiałą żonę Maryę z Turskich”.—Akt ten zeznali Onufry hr. Małachowski, brat rodzony zmarłego, dziedzic dóbr Borkowic, mający lat 52, i Seweryn hr. Biernacki, zięć zmarłego, komisarz obwodu Piotrkowskiego lat 51”.

Sukcesorka zmarłego, p. Hortensya Małachowska, sprzedaje nakoniec dobra nałęczowskie w r. 1850.

Nowy nabywca, p. Tytus Rakowski, w kilka lat później (1858), umiera, pozostawiając dobra dwóm synom, z których jeden odbywał studia uniwersyteckie w Petersburgu, drugi, małoletni jeszcze, był w szkołach lubelskich. Po nich na-



CHATA UKRAIŃSKA (pow. rzeszowski)

fol. W. Męczyński.

bywcą dóbr został p. Nowiński z Ukrainy, który również nie mogąc podoląć ciężarom, w lat kilka później je sprzedał,—a po parokrotnej jeszcze zmianie właścicieli, dobra te uległy parcelacyi. Ostatnia właścicielka dóbr nałęczowskich, p. Czermierzyn (z domu Orłowska), stopniowo wyzbywała się folwarków i w lat kilka cały majątek sprzedała.

W tym właśnie czasie powstała myśl wskrzeszenia tu dawnego zakładu leczniczego. Trzej lekarze: dr. Fortunat Nowicki, rodem z Wołynia, kilkoletni przedtem dyrektor znanego zakładu leczniczego w Lipecku, w gub. tambowskiej, dr. Wacław Lasocki, również z Wołynia rodem, czasowo mieszkaniec gub. irkuckiej, i dr. Konrad Chmielewski, rodem ze Żmudzi, zamieszkały czasowo w Tomsku, byli inicjatorami tego projektu.

Do tych trzech przyłączył się następnie dr. Władysław Sypniewski, a później jeszcze kilkunastu innych współników ze sfer inteligencji krajowej [z kapitałem 155,000 rubli.

Wyborem Nałęczowa kierowały nie tylko małowicza miejscowość i tradycja dawniejszego



ZAGRODA PODOLSKA (pow. winnicki)

fol. M. Wisznicki.



zakładu,⁷ — ale przede wszystkim środki lecznicze miejscowe i przyjazne warunki klimatyczne. Rzadko gdzie znajduje się skupiony w jednym punkcie tak bogaty i różnorodny materiał leczniczy: obfite źródła wody żelazistej, niewyczerpana obfitość wody źródlanej o bardzo niskiej temperaturze, torfy, lasy iglaste, ułatwiające kąpiele borowinowe i igliwowe. Wysokie stosunkowo położenie nad poziomem morza (689 stóp angielsk.), wzgórze od północy i południa, osłaniające od wiatrów, powodujących nagłe zmiany temperatury, bliskie sąsiedztwo obszernych przestrzeni leśnych, — wszystko to podnosiło wartość środków, znajdujących się na miejscu, przy stosowaniu ich leczniczym.

Spółka lekarzy, objawszy w roku 1878 w posiadanie pałacu i park z rozrzuconymi po nim budowlami, oraz z tem, co po dawnym zakładzie pozostało, dokonała w ciągu dwóch lat niespełna najważniejszych robót, które pozwoliły jej już w r. 1880 otworzyć zakład. Dr. Nowicki, główny

organizator tego zakładu, rozwinął niesłychaną energię: odbudował łaźienki, hydropatyę i domy mieszkalne, — na pałacu wznosił drugie piętro i wieżę ciśnień, wznosił kilka pomniejszych nowych budynków gospodarskich, oczyścił staw, przeprowadził wodociąg. W roku następnym stanęły:



CHATA LUBELSKA (z Urzędowa, pow. janowski)

fol. M. Wisznicki.

wielki budynek dwupiętrowy (zakład) i willa zakładowa, wzniesione na nowo, niemal od fundamentów, gdyż dawne, które chciano zużytkować, usuwać przeważnie musiano.

H. Wiercieński.



Z podróży na Pomorze. 7)

V.

Wróciłem do Słupska, udając się przez Szczecin na Rujnę (Rügen), świętą wyspę lechitów. Ze Słupska wiedzie droga żelazna przez Koszalin, Białgrad i Stargrad do Szczecina przez prawdziwą pomorską okolicę. Rozległa, jednostajna równina piaszczysta, pełna moczarów w zakleszczeniach i smogorzewisk. Jedyne ożywienie tworzą lasy iglaste, przesuwające się raz po tej, raz po

tamtej stronie szlaku kolejowego. Krajobraz nastrojowy: jakaś tajemnicza, żywiołowa siła tchnie grozą z tej olbrzymiej płaszczyzny, zdającej się nie mieć końca, a ginącej w sinawej mgle, jak gdyby tu krył się jakiś potężny nieznany świat. Świat ten, to morze lechicko-polskie, na którego wodach burzliwych rozgrywały się przez długie wieki dzieje homeryczne słowian pomorskich, potężnych ich zapasów z wikingami normandzkimi, z jarłami i konungami duńskimi i norweskimi,



SZCZECIN.

zakończone tragedią niemieckiego podboju. Tędy też przelatywały straszne burze dziejowe gotów, herulów i hunnów. Dziś grobowa cisza zalewa nadmorskie równiny Pomorza. Stara sława i świetność polskich pomorzan, ich wspaniałe a potężne grody i zamki wraz z ich wiarą i gwarą utonęły w przezroczach morza, a lud słyszy dziś jeszcze w świetlane noce księżyca z toni morskiej dzwony zapadłych miast swoich, widzi na dnie morza pyszne ogrody i zamki, rojące się mrowiskiem ludzi. Wróg zabrał pierwotnemu ludowi słowiańskiemu wszystko, zostały tylko szczątki i gruzy jego pracy dziejowej i kulturalnej, sterczące z ruin, z słowiańskich, pokaleczonych nazw miejscowych, z wież i zabobonów ludowych, z podań i baśni, jako też z pozostałości słowiańskich, przebijających z obecnej niemieckiej gwary ludowej, i z pewnego poczucia odrębności ludu, który zowie siebie dla wyróżnienia się „P o m m e r e r”, przez kaszubów zaś zwany jest „P o m e r c u g a m i”, co oznacza zniemczonych pomorzan, którzy zachowali dużo właściwości swej pierwotnej istoty. Snać lud ów „Pommererów”, lubo mówiący narzeczem niemieckim, nie musi siebie uważać za Niemców, skoro u niego „D ü d s c h e r” (Deutcher) oznacza — dyabła. Zamiast powiedzieć: niech cię czart porwie, mówią oni: „D i s c h a l l d e D ü d s c h e r u p p d e n k o p p f a h r e n (dir soll der Deutsche auf den Kopffahren). Istotnie też Niemiec dał się pierwotnym pomorzanom dyableni we znaki.

Ze smutnemi myślami o przeszłości tej ziemi przybyłem do Szczecina, stolicy pomorzan. Wielkie i piękne miasto portowe z olbrzymim ruchem handlowym, daleko większym niż w Gdańsku i Królewcu. Przy mieście miejscowości nie brzmiące wcale po niemiecku, jak: Krekow, Torncy, Güslow, Glienken, Pölitz, Jasenitz, Duchow, Kölpiner Werder, Günitz, Frestin, Lubzin i t. p. Miasto nawskroś nie-

mieckie. Dolna jego część nad Odrą wyłącznie handlowa. Widać na rzece i kanałach las drzew masztowych. Ogromny ruch wozów ciężarowych, ustawiczne krążenie tragarzów, uginających się pod ciężarem, jak objuczone zwierzęta. Na dworcu kolejowym istne mrowisko przejeżdżających i odjeżdżających. Tu i owdzie widać uwijającego się Żyda polskiego w kaftanie. Tyle też „polskiego” spostrzeżę oko w tem mieście niemieckim, gdzie panował nasz Bolesław Krzywousty i gdzie Otto z Bambergu w polskim języku zaszczepiał i krze-

wił chrześcijaństwo. Górna część miasta z ożywionemi, pięknymi, długimi a szerokimi ulicami ma wygląd wielkomiejski w nowożytnem słowa znaczeniu. Tylko tu i owdzie odbija się rażąco swą zczerniałością budownictwo średniowieczne, mianowicie: szczątki dawnych bram miejskich, kilka starych kościołów, ratusz z r. 1245 i zamek królewski, dawniej siedziba książąt zachodnio-pomorskich, których ród wymarł w r. 1637 na Bogusławie XIV, podpisującym się: „Bogischlaff dieses Namens der vierzehente, herzog zu Stettin, Pommern, der Cassuben und Wenden, Fürst zu Rügen”. Zamek zbudował książę Barnim III w r. 1346. Kilkakrotnie niszczone przez pożary został w latach 1575—1585 odbudowany. Pomorscy książęta krwi lechicko-polskiej byli, podobnie jak Piastowie śląscy, największymi germanizatorami swego państwa. Germanizacja tej części Pomorza zaczęła się bardzo wcześnie, bo już na początku XIII wieku. Od połowy tego wieku był ród książąt zachodnio-pomorskich już zniemczony. Zachowali tylko imiona słowiańskie.

W starych dokumentach opiewa nazwa miasta: Stitin, Stetin, Stetina i Stiten, co odpowiada zupełnie starej polskiej nazwie Szczecino, przekazanej nam przez Długosza. U Quandta¹⁾ znajduję następujący opis starego Szczecina: „Miasto było w r. 1124 wielkie („i n g e n s a m p l i s s i m a”). Liczono 900 ojców rodzin bez dzieci, kobiet i reszty ludności. Było otoczone moczarami i wodami tak, że żaden wróg nie mógł go zdobyć, a Bolesław, król polski, w r. 1120—1121 zajął je niespodzianie z powodu zamarznięcia wód. W obwodzie miasta znajdowały się 3 pagórki. Na średnim i najwyższym z nich wznosił się najwspa-

¹⁾ Stettin zur wendischen Zeit. Baltische Studien t. 2, str. 243.



nialszy wizerunek boga pogańskiego Tregłowa; w kontynie posąg był bardzo misterny i pełen smaku. W kontynie czczono Boga, tam składano poświęcone bóstwu dziesięciny, tam wydawano wyrocznie za pomocą świętego konia, tam na górze Tregłowa w środku miasta była siedziba, zamek i dwór książąt, posiadających także godność arcykapłańską. Obok znajdował się wielki rynek, na którego środku Otto Bamberski wznosił kościół św. Wojciecha. Tu urzędowała rada gminna i dwa razy w tydzień odbywały się targi dla całej ziemi. Warowne wały z bramami otaczały miasto. W trzech innych kontynach znajdowały się stoły i ławki. Tu w pewnych dniach odbywały się schadzki i biśiady uroczystościowe.”

Państwo zachodnio-pomorskie miało na początku XIII wieku te same urzędzenia państwowe i społeczne, co Polska. Miało kasztelanów, stolników, cześników, wojewodów i t. p., a wszyscy oni noszą imiona słowiańskie. Szlachta pomorsko-lutycka zowie się wprost po imieniu: Wartyśław, Pribisław, Sławomir, Sobiebor, Mirogniew, a w skróceniu: Bartosz, Djerek, Priba, Jenik, z dodaniem pochodzeniowej nazwy z imienia ojcowskiego: Pątyń syn Mstisława, Odolian syn Kazimierza, Wartysław Swątoborowic, Rutysław Skarbimieric, Czestisław Unimic, Solesław Tieszeradowic i t. p. Niektóre z tych imion stają się rodowe. Dopiero później przyjmuje szlachta pomorska na sposób niemiecki nazwy ze swych posiadłości ziemskich, od grodów i wsi. Z germanizacją zmienił się też i ustrój społeczno-ziemski. Szlachta stawała się z dziedzicznej lenną, miasta otrzymywały prawa niemieckie, po wsiach osiedlano kolonistów niemieckich na niemieckim prawie, dając im większą wolność osobistą i zwolnienie od ciężarów podatkowych, wynikających ze starego prawa polskiego, jakim się rządziły pierwotne osady. Tym sposobem przybyłe niemieccy tworzyli uprzywilejowaną i wyzwoloną klasę ludności, wzrastającą w dobrobyt, podczas gdy ludność rodzima pozostawała w dawnej niewoli i pod dawnymi gniotącymi ją ciężarami. Okoliczność ta nadawała niemieckim przybyzdom przewagę materyalną i moralną nad ludnością pierwotną. Stary porządek został wstrząśnięty i upadł, a z nim i narodowość, głównie dlatego, że przez dwoistość urzędzeń: jednego systemu, opartego na wolności i przywilejach, związanych ściśle z obcym pochodzeniem, a drugiego z dawną niemocą i zastojem, połączonych również ściśle z żywiołem rodzimym — wytworzyła przewagę żywiołu napływowego, popieranego z góry obcą kulturą, w którym surowość pierwotna zginęła zdumiewająco szybko, tak szybko, iż niemieccy pisarze dla wytłómaczenia sobie tego fenomenalnego zjawiska przemarodowienia, nie mo-

gąc go pojąć, wytworzyli sobie, powodując się szowinizmem narodowym i dążąc do upiększenia potwornej zbrodni zabijania ludu, opierając się przytem na niedokładnych i bałamutnych podaniach Tacyta, nedorzeczną hipotezę, jakoby pozostała na ziemiach nadbałtyckich i w ogóle na ziemiach zachodnio-północnych słowian „pierwotna ludność germańska”, odżywiając się stale przy pomocy kultury i poparcia z góry, spowodowała to odnarodowienie. Cały szereg uczonych niemieckich przyjmuje tę hipotezę, zbija ją natomiast najdowodniej najznakomitszy nowszy dziejopis niemiecki Pomorza i Rujny, O. Tock. Stwierdzają to samo też wszystkie najstarsze kroniki pomorskie, a Kantzow pisze wyraźnie, że Pomorze było podług wszystkich świadectw historycznych co do swego pochodzenia od najdawniejszych czasów aż do chrześcijaństwa i jeszcze przez szereg lat później „w e n d y j s k i e”.

Starzy słowiańscy pomorzanie byli mężni i waleczni. Sławę ich wypraw wojennych i korsarskich przechowują liczne sagi i kroniki skandynawskie. Wojna i morze były głównem zajęciem i polem popisu tego biednego ludu, który jednak obok rzemiosła wojennego i korsarskiego oddawał się z wielkiem zamiłowaniem pracy około roli i rzemieślniczej. Historyk Giesebrecht opowiada prawie cuda o pokojowej pracy pomorzan. Twierdzi on i dowodzi nadto, że słowianie nadbałtyccy posiadali własne pismo runiczne. Kult religijny był u nich bardzo rozwinięty. Świątynie dla bogów wznosiły się prócz słynnej swantowidowej w Arkonie w wielu innych miejscowościach: w Kołobrzegu, Wolinie, Wołogoszczy, Gostkowie, Szczecinie, Retrze, Baniborze, Malikowie, Płonie, na półwyspie Jasmodie (Jasmund), w Korenicy, Słupsku, Stargardzie, Bulgardzie, na Rewekolu i w wielu innych miejscach. Również kwitł w nich handel. Świadczą o tem drogi handlowe, przerzynające ziemię w różnych kierunkach i wspaniałe ich miasta nad morskie, których sławę głoszą najstarsi kronikarze. Jumne, podług Saxona Gramatyka, było najwspanialszem i największem miastem Europy. Kołobrzeg, Dymin, Szczecin, Gdańsk słyną z dawien dawna jako możne i wspaniałe grody, słyną też ze swej gościnności dla obcych, „nawet i dla saksonów”.

Gościnność, niestety, pochłonęła tych, którzy się nią odznaczeni.

VI.

Ze Szczecina udałem się parowcem na wyspę Rujnę, mianowicie przez ujście Swiny i Henugsdorf do Sosniw (Sassnity). Wyspa Rujna przedstawia najosobliwsze połączenie wody z lądem. Półwyspy i wyspy, przesmyki lądowe i przylądki, zatoki, cieśniny morskie i jeziora przesuwają się



w krótkich odległościach jedno za drugim. Rujna prócz właściwej wyspy składa się z czterech większych półwyspów (Jasmod, Witow, Radowice (Mönchigut) i Zudar), czterech półwyspów mniejszych i z więcej niż dwudziestu wysep. Z parostatku osobliwy też widok na wyspę. W dali bieleją wysokie i strome jej brzegi z pokładami kredowymi, na krańcach zieleniejące bujnym porostem leśnym. Rujna posiadająca 967 kilometrów kwadratowych jest największą wyspą cesarstwa niemieckiego. Na całej wyspie niema ani jednego punktu, który byłby od morza odleglejszy niż 7 kilometrów. Zarys i obwód brzegów wyspy zmienia się wciąż, zwłaszcza w niektórych miejscach, szczególnie na Witowie, gdzie fale morskie ustawicznie podmywają wysokie brzegi kredowe i urywają je, gdzieindziej zaś przeciwnie tworzą się z morza ławy i wydmy piaszczyste, które łąd powiększają. Najwyższym wzniesieniem ziemi na wyspie jest Pik na Jasmodzie, mający 161 metrów wysokości nad powierzchnią morza. Po nim idzie wał grodowy (Herthaburg) koło Stopania o 25 metrów niższy. Na wyspie niema ani jednej rzeki, natomiast są liczne potoki, strumienie i jeziora. W lasy wyspa obfituje. Na ziemi kredowej rosną piękne storczyki i inne rzadkie rośliny. Ziemia w znacznej części jest urodzajna, a w dawnych czasach słynęła z tego przysłowiowo, nie mniej jak z bogatego chowu bydła. W wielu lasach znajduje się dużo różnej zwierzyny. Zaludnienie wynosi przeszło 60,000 dusz. Rolnictwo, leśnictwo, bartnictwo i rybołówstwo stanowią główne zajęcia ludności wiejskiej. Wielkich miast i większego przemysłu niema tu. Stolicą kraju jest miasto Góra (Bergen) z 40,000 mieszkańców. Ślady słowiańskie utrzymały się wyraźniej tylko w dwóch miejscach, mianowicie na półwyspie Radowickim (Mönchigut) i na

wyspie Heddensee. Na Jasmodzie zmarła, podług Kantzowa, w r. 1404 stara kobieta nazwiskiem Galitzin, która wraz z swoim mężem była ostatnią na Rujnie co umiała mówić po „wendyjsku”. Podanie to pomorskiego kronikarza nie jest dokładne, skoro on sam donosi na innym miejscu, iż „przed stu laty zmarł na Rujnie ostatni wend”. (Kronika była pisana w r. 1538). Prawdopodobnie żyli tu jeszcze później starzy ludzie, którzy znali swój język pierwotny. Na półwyspie Radowickim (Mönchigut), gdzie leży miejscowość Goryn (Göhren), i gdzie za dawnych czasów znajdował się Stargard z wałami obronnymi, tworzą dziś jeszcze mieszkańcy odrębny ludek, odróżniający się od reszty ludności wyspy narzeczem, strojem, zwyczajami i obyczajami, co wszystko nosi wybitne znamiona kaszubskie. Niemiec nie zrozumie tego narzecza miejscowego, w którym znajduje się zarówno w głosowni jak w słownictwie wiele oddźwięków słowiańskich. Strój jeszcze wybitniej staropomorski i kaszubski. Mężczyźni noszą szerokie rybackie spodnie z białego płótna, czarne kabaty z dużymi rogowymi guzikami, na głowie okrągłe kapelusze z szerokimi, na dół zwróconymi kresami. Kobiety używają kaftaników bez rękawów a wierzchu wkładają na siebie krótkie koszule z rękawami (kaszubską wierzchnią koszulę), spódnice zaś czarne z wieloma grubymi gumami, jakie to spódnice widzieć można u kaszubek ziemi lęborskiej. Pończochy noszą modre lub czerwone, a nie brak im kaszubskiego napierśnika z pstrej wełnianej tkaniny, obszytego barwną wstążką. Na święta i uroczystości przywdziewają napierśniki z czerwonej jedwabnej materii złotem i srebrnymi taśmami obszyte. Do całości świętecznego stroju należy jeszcze pstra chustka, którą wiążą na krzyż przez piersi, a po wierzchu



ULICA SZEROKA W SZCZECINIE.

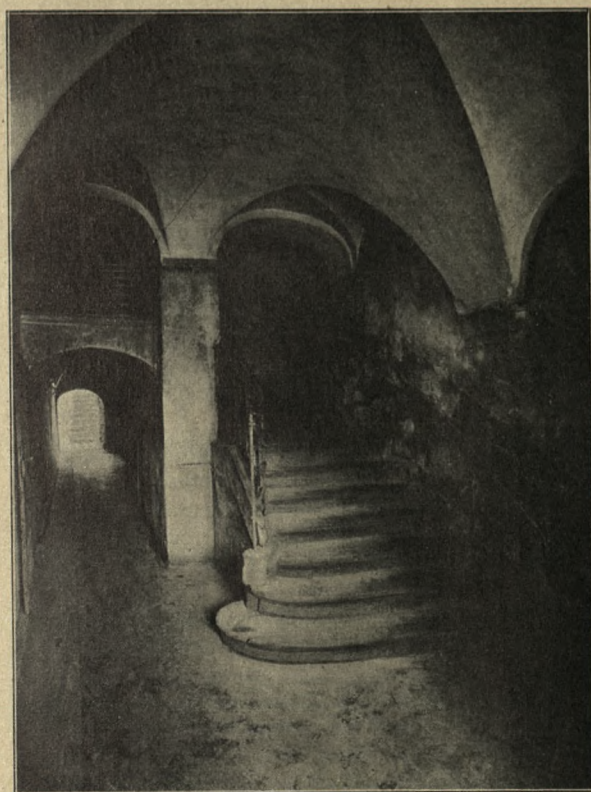
której przywdziewają grubą białą płachtę, na to zaś jeszcze czarny kabat, spięty na piersi. Z przodu noszą białą fartuszek a na głowę wysoką czapkę, wkładaną na płócienny białą czepiec tak, iż widać z niego około głowy wazką białą obwódkę. Z czapki spadają długie czarne wstążki na plecy. Na znak żałoby okrywają głowy białą płachtą. Są to te same płachty, które były rozpowszechnione na całej lechicko-polskiej Słowiańszczyźnie od Wisły aż po za Łabę. Obrzędy u nich pozostały także słowiańskie. Żenią się tylko pomiędzy sobą. Jest to zupełnie taki sam odrębny i osobliwy ludek jak glinianie i drewlanie w Hanowerskiem, zowiący się w e n d a m i; ludek słowiański bez języka, oniemiały.

(GDN)

G. Smólski.



Zabytki sztuki polskiej.



SIEN DOMU № 40 W RYNKU STAREGO MIASTA W WARSZAWIE.

Kamienica, zwana pierwotnie *Clemensowska*, przeszła później w ręce Montelupich, szlachty florenckiej a od Henr. Walezyusza i polskiej, a zarazem zarządców i organizatorów poczty królewskiej. Tem też tłumaczy się zapewne jej śliczna sień z pełnym wdzięki wejściem na schody. Przepuszczenie to zresztą nie oparte na niczem, bo ścisła data budowy schodów nieznana. W długim szeregu następnym właścicieli zmieniają się różne stany, zawody i narodowości: od ormianina Sahima do ks. Antoniego Barnaby Jabłonowskiego, od kupców Richarda i Bernoux do słynnego lekarza Gagatkiewicza.

T—t.

□□□□□□□□

Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Po przerwie wakacyjnej odbyło się pierwsze posiedzenie Zarządu Oddziału w Zagłębiu na którym postawiono wznowić tygodniowe zebrania i przyjęto sprawozdanie z działalności sekcji. Ogłoszony konkurs przyrodniczy wzbudził duże zainteresowanie. Termin konkursu upływa 1 października, przed tym więc terminem na-

leży nadsyłać zbiory. Sekcja fotograficzna przedłużyła termin konkursu do 15 października. Do tego więc czasu pod adresem Oddziału T-wa (Główna 14) będą przyjmowane prace na następujących warunkach:

1) najmniejszy format 9×12, na papierze dowolnym.

2) najmniejsza ilość 6 sztuk; w tem 3 stare zabytki, i 3 lub więcej typy, krajobrazy, obrazki rodzajowe i t. p.

3) do udziału w konkursie mogą stawać wszyscy za wyjątkiem zawodowców, których prace będą wystawione po za konkursem.

4) każda odbitka winna być na odwrotnej stronie opatrzona objaśnieniami, co mianowicie oznacza.

5) nagród jest 3: żeton złoty, srebrny i dyplom uznania.

6) każda praca winna być zaopatrzona godłem; koperty z nazwiskami będą otwarte przez jury po przyznaniu nagród.

Sekcja wycieczkowa oddziału w Zagłębiu zorganizowała we wrześniu następujące wycieczki.

Dnia 8. IX do *Piekar Wielkich i Bytomia*. Osób 14, prowadził p. J. Drzewiecki. Wyruszone o 9 m. 40 rano, tak iż już o 10 m. 30 wycieczka stanęła w Bytomiu, przywitana przez członków redakcji „Katolika” pp. Peclów, którzy ofiarowali się za przewodników. Po krótkim posiłku wyruszone tramwajem do Piekar Wielkich, miejsca słynnego z cudownego obrazu M. B. i Kalwaryi. Obszedłszy kapliczki, których tam jest 60, podziwiano ze wzgórza wspaniały widok na pograniczną Krynicę z okolicą, i wypocząwszy chwilę powrócono do Bytomia, zwiedzając po drodze w Rozberku największą na Śląsku nową świątynię w stylu romańskim. Po obiedzie zwiedzono miasto, kościoły oraz ogromne zakłady drukarskie „Katolika”. Oprowadzani przez uprzejmych gospodarzy oglądali uczestnicy wycieczki maszyny rotacyjne, linotypy, odlewnie czcionek i matryce, oraz prawdziwie artystyczną introligatornię. Wieczór spędzono w lokalu Stowarzyszenia w gronie inteligencji miejscowej. Wieczornica, urozmaicona popisami, a zakończona ochoczą zabawą, pozostawiła niezatarte wrażenie na uczestnikach ze względu na niedający się opisać nastrój, co też kierownik wycieczki wyraził w swoim podziękowaniu. Odprowadzeni na stację uczestnicy odjechali, wyrażając serdeczną wdzięczność przede wszystkim pp. Wolskim i Peclom za nad wyraz życzliwe i wzorowo zorganizowane przyjęcie tej, niestety, nielicznej wycieczki.

Dnia 17. IX do *źródeł Przemysły i Pilicy*. Osób 17, prowadził p. J. Drzewiecki. Wyruszone z Sosnowca o 5 m. 50 rano poc. do Zawiercia. Powitani przez sekcję wycieczkową Oddziału Zawierckiego przyjezdni odjechali kołmi do Ogrodzieńca. Zwiedzwszy ruiny siedziby Bonarów i wysłuchawszy objaśnień p. Sujkowskiego i kierownika, wyruszone do Pilicy.

Dzięki uprzejmości pp. Arkuszewskich obejrzano pałac, parki i wały—i skierowano się do miasteczka dla zwiedzenia kościoła farnego, klasztoru reformatów i starej bóżnicy drewnianej. Po krótkim posiłku wyruszone do ruin w Smoleniu, a stąd do Wolbromia.



Rozejrzawszy się po rynku nieosobliwego miasteczka, ruszono dalej do Podlesia, gdzie pp. Wosińscy podejmowali wycieczkę ze staropolską gościnnością. Spędziwszy godzinę w miłym towarzystwie uprzejmym gospodarzy, pośpieszono na przystanek kolei dęblńskiej, a stąd nastąpił powrót do Sosnowca na godz. 10 wieczorem.

Dnia 24 września *botaniczna do parku sieleckiego*, prowadził p. Warchoń.

W celu zaznajomienia się z florą okoliczną sekcja wycieczkowa zorganizowała wycieczkę miejscową pod kierunkiem przyrodnika, profesora Warchoła, do jedynej w Sosnowcu oazy, parku w Sielcu, zwykle zamkniętego dla publiczności. Trzygodzinną tę wycieczkę urozmaicały interesujące objaśnienia.

W najbliższej przyszłości Oddział zapowiada następujące wycieczki:

D. 1 paźdz. Rabsztyn i Klucze. 15 paźdz. Olkusz (stare sztolnie). D. 29 paźdz. Piotrków i Sulejów. 5 list. Częstochowa. 26 i 27 listopada Wieliczka (łącznie z Oddz. w Zawierciu). 8, 9 i 10 grudnia Łódź, Zgierz, Sieradz i Pabianice. D. 24, 25, 26 i 27 grudnia Zakopane. D. 31 grudnia Saturn (kulig).

□□□□□□□□

Z ruchu krajoznawczego.

Przybywa nam nowa placówka krajoznawcza, tym razem w dzielnicy, w której dotychczas bodaj najmniej własnymi siłami polskimi nad krajoznawstwem pracowano, a gdzie natomiast bardzo wiele za nas uczynili na tem polu Niemcy—mianowicie *Towarzystwo Ludoznawcze w Poznaniu*.

Pierwsze §§ statutu w następujący sposób określają cel i zadania tego Towarzystwa:

§ 1.

Towarzystwo ma na celu badanie i zachowanie objawów bytu i kultury ludu polskiego.

§ 2.

Środkiem do tego mają być w pierwszym rzędzie zbiory wszelkich charakterystycznych okazów życia ludowego, a mianowicie strojów ludowych, wyrobów przemysłu domowego, urządzeń domowych, sprzętów, naczyń i t. p., oraz pieśni i podań ludowych.

Zebrane okazy mają być umieszczone w Muzeum imienia Mielżyńskich i ofiarowane Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu, aby stanowiły podstawę do utworzenia wydziału etnograficznego w temże muzeum.

§ 3.

Członkiem może być każdy, kto zostanie przez Zarząd przyjęty.

Składka roczna wynosi 6 marek.

Łącznie z ustawą rozesłana została w tych dniach następująca odezwa:

Od dawna już kielkowała w społeczeństwie naszym myśl utworzenia Towarzystwa etnograficznego, które pod tytułem *Towarzystwo Ludoznawcze w Poznaniu* w marcu b. r. do nowego powołane zostało życia.

W konsekwencji myślą główną T. L. jest wzbogacenie muzeum tutejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk działem etnograficznym, którego brak dotąd odczuwać się dawał. Zachętę zawdzięczamy między innymi także najprzewielebniejszemu ks. biskupowi Dr. Likowskiemu, niestrudzonemu, a tak bardzo zasłużonemu prezesowi tej naszej najpoważniejszej instytucji naukowej.

O znaczeniu zbiorów etnograficznych niema potrzeby się rozwódzić. W każdym narodzie budzą się niezawodnie najgorętsze pragnienia utworzenia podobnego przybytku ludowych i narodowych właściwości, które pod wpływem niwelującej kultury wszechświatowej coraz więcej zanikają i może niezadługo zupełnie znikną.

Ożywieni gorącym pragnieniem zachowania tego, co nam powinno być drogą, zwracamy się do wszystkich pracowników na niwie ojczyźnej z prośbą o łaskawe poparcie usiłowań naszych i złączenie doświadczenia i poświęcenia własnego z pracą naszą. Nie wątpimy, że wspólnymi siłami niezadługo dojdziemy do urzeczywistnienia zamierzonego celu.

Zadanie Towarzystwa w załączonym tu statucie bliżej jest określone.

Wszystkie dary przyjmuje prezesowa, zgłoszenia zaś na członków uprasza się wystosowywać na ręce sekretarzy.

Dla dogodności członków po składkę w Poznaniu kursor obchodzić będzie co pół roku—na prowincyi zaś dla pominięcia pomyłek, kosztów i innych niedogodności skarbnik T. L. w P. przez zaliczkę pocztową doroczną składkę pobierać będzie.

Poznań, data st. poczt.

W imieniu Zarządu Towarzystwa Ludoznawczego w Poznaniu. Helena Cichowiczowa, prezesowa: Wilh. pl. 18 Konstanty Kościński, sekretarz Tow., ul. ces. Wilh. 32.

□□□□□□

Nowe książki.

Eugene Romer. Esquisse climatique de l'ancienne Pologne.

Ta krótka broszura (30-stronicowa odbitka z „Bulletin de la Société Vaudoise de sciences naturelles”) jest streszczeniem obszernej pracy, która obecnie drukuje się po polsku w wielkiej Encyklopedyi Polskiej, wydawanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Chociaż to streszczenie już było drukowane przed rokiem, a w rok później ten niesłychanie ciekawy temat był poruszony przez autora na zjeździe przyrodników w lipcu r. b. w Krakowie, jednak dotychczas wciąż jeszcze wyczekujemy bezskutecznie (zresztą już od szeregu lat!) owej Wielkiej Encyklopedyi. Wobec tego narzuca się konieczność przedstawienia najogólniejszych wyników, do jakich doszedł autor.

Prof. E. Romer, oddawna zajmujący się omawianiem zagadnienia, jest właściwie pierwszym pracownikiem na niwie klimatologii Polski, który po szeregu lat pracy samodzielnej wyprowadził wnioski zupełnie od dawniej panujących poglądów niezależnie. Okazało się, że dawniejsze utarte twierdzenia nie mo-



gły się ostać: były one albo wyprowadzone ze zbyt nielicznego materiału, albo też były tylko analogią do stosunków klimatycznych, bardziej odległych i dość od naszego obszaru odmiennych. Do takich analogii wypada naprz. zaliczyć przejściowość klimatu na ziemiach dawnej Polski i celem należytego zbadania podstawy tego twierdzenia należało opracować wszechstronne i źródłowe dane meteorologiczne, dostarczone z ogromnej liczby stacji. Po dokonaniu tej benedyktyńskiej pracy prof. Romer dochodzi do wniosków prawie że nieoczekiwanych: rozpatrując ziemie między Odrą a Dźwiną—Dnieprem leżące, zobaczymy, że zjawiska ciepłe zmieniają się w kierunku równoleżnikowym słabiej aniżeli na zachód od Odry lub na wschód od Dźwiny—Dniepru. Szczególniej na wschodzie przez Białoruś i Zadnieprze można zauważyć wyraźny pas, oddzielający klimat Rosyi Środkowej od klimatu Litwy i Ukrainy. Że obszar ziem dawnej Polski jest bliższy klimatycznie do Europy zachodniej, niż do wielkiej równiny wschodnio-europejskiej, to można już było wyprowadzić z obszernej pracy Brücknera nad opadem atmosferycznym w ciągu XVIII i XIX stuleci i z prac Meinhardusa, dotyczących możliwości przepowiedni klimatycznych w Europie zachodniej; — ugruntowanie jednak tej granicy klimatycznej będzie zaśluga prof. Romera.

Wyniki tej pracy prof. Romera sięgną nieco głębiej: zmuszą one do zmiany rysowania izoterm na ziemiach dawnej Polski. Odsyłając czytelnika do będącej w druku Encyklopedyi, nie można zamilczeć o jednym ważnym odkryciu prof. Romera, dotyczącym stosunków hydrograficznych; a mianowicie dotychczas przypuszczano, że na tym obszarze ilość opadów atmosferycznych najbardziej była związana z odległością od oceanu Atlantyckiego, obecnie zaś prof. Romer ustala, że ilość opadów jest zależna od postaci powierzchni, to jest od wyniesienia danej miejscowości nad poziom morza i od rozległości poszczególnych jednostek morfologicznych. To prawo da się stwierdzić z niesłychaną ścisłością nad Wartą i Wisłą tak samo, jak na Polesiu lub na Podolu.

E. Romer. Mouvements épirogéniques dans le haut bassin du Rhône.

Ta obszerna rozprawa wypełnia № marcowy r. b. tego samego wydawnictwa w Lozannie. Jeżeli „Ziemia” nie jest zupełnie odpowiednim miejscem dla streszczenia tej pracy, to jednak pocieszającą jest rzeczą mózdz stwierdzić fakt, że po raz pierwszy praca polskiego uczonego morfologa obrała sobie Alpy za przedmiot badań, i że badania te nie pozostały bez poważnych następstw; a mianowicie autor dowiódł w zlewisku górnego Rodanu istnienia ruchów falistych skorupy ziemskiej (epirogenetycznych) doby najwęższej w stopniu daleko większym, niż można było przewidywać, i dowiódł ich wpływu kształtującego na postać powierzchni

E. Romer. Ueber eine einfache Methode der Höhenbestimmung der Gletscherenden.

W czasopiśmie, specjalnie poświęconem zagadnieniom lodowcowym („Zeitschrift für Gletscherkunde), autor wskazuje na prosty sposób zapomocą aneroidu

i klizimetru oznaczania wysokości wogóle i szczególnie położenia krawędzi lodowcowej. Wobec tego, że krawędź lodowca z roku na rok zmienia swe położenie, łatwy i prosty sposób jego oznaczenia jest rzeczą wielkiej wagi dla geografa.

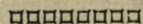
Eugeniusz Romer. Mapa ziem dawnej Polski.

To maleńkie arcydzieło, które obejmuje obszar częściowo jeszcze większy, niż ścienna mapa O. Sosnowskiego lub S. Majerskiego, powinno się znaleźć dosłownie w każdym domu. Dość gęste warstwyce pozwalają autorowi przy drobnej skali poprostu wyrzeźbić szczegóły ważne dla każdego, kogo tylko geografia Polski obchodzi. Cena 40 h., a więc przypuszczalnie w handlu księgarskim 20 kop.

Wiadomo, że tak płodny autor w styczniu wrócił z półrocznej wyprawy po Azji, że jednocześnie zakłada seminaryum geograficzne przy swej katedrze na wszechnicy we Lwowie, w którym wre praca gorączkowa, i chyba tylko można się dziwić, kiedy ten człowiek znajduje czas na rysowanie (do cyzelowania podobnie!). „Mapy ziem polskich.”

Niech mi wolno będzie przypomnieć, że przed trzema przeszło laty E. Romer wydał mały atlasik, o którym The Scott. Geogr. Magazine 1908 (III, 167) powiedział: „most beautiful and highly finished specimen of cartography, deserving of special commendation.” O tym samym atlasie J. Brunhes w swej znakomitej: „La Geographie Humaine” (str. 88) twierdzi: „Sous sa forme si portative et pour son prix si modique, je ne sais rien de plus correct, ni de plus elegant, en un mot, de meilleur”. A jednak... na wystawach księgarskich w Warszawie widywałem tanią tandetę pruską Eckerta!

A. Sujkowski.



Z piśmiennictwa.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego, 1911, tom XXXII.

Mamy przed sobą 32 rocznik T-wa Tatrzańskiego, liczącego 36 rok istnienia. Jak lat poprzednich, tak i ten „Pamiętnik” witamy z uznaniem i z przyjemnością wglębiamy się w sprawozdania i zestawienia liczbowe, świadczące o stałym rozwoju Towarzystwa; — widzimy wzrost ilości członków i, co ważniejsza, pewni być możemy wzmoczenia się tego przyrostu w latach najbliższych, a to na zasadzie faktu rozszerzenia się koła delegatów Towarzystwa. Instytucja ta jest nader ważna dla rozwoju T-wa, i słuszne jest, iż Wydział usiłuje dbać o jej rozgałęzienie na wszystkie miasta. Skutkiem tego w Królestwie ilość członków T-wa wzrosła z 421 (rok 1910) na 509 (1911), t. j. o 20⁰/₀. Rozwój schroniska przy Morskiem Oku, projekt budowy podobnego schroniska przy Czarnym Stawie, rozszerzenie i ulepszenie siedziby Towarzystwa w Krakowie, organizacja zebrań miesięcznych i t. p. fakty świadczą obecnie o sprężystości i energii Wydziału T-wa z prof. dr. Wł. Szajnochą na czele.



Niezupełnie to samo da się zapewne powiedzieć o niektórych oddziałach Towarzystwa, ilość członków których w ostatnim roku zmniejszyła się, i o Sekcji Turystycznej, od której mamy prawo więcej wymagać. Ilość członków sekcji spadła, co zresztą było do przewidzenia, wobec zapowiedzianych przez zarząd sekcji obostrzeń w przyjmowaniu członków. Sprawozdanie zarządu sekcji brzmi sucho, nie widzimy, co zarząd zrobił dla rozwoju taternictwa i wogóle turystyki tatrzańskiej. Poza wysiłkową pracę jednostek widzimy wogóle w ostatniej fazie działalności sekcji dyletantyzm, bezprogramowość, brak organizacji i ochoty do postępowania naprzód i spełniania nadziei, pokładanych w niej przez ogół i Wydział Towarzystwa Tatrzańskiego. Miejmy nadzieję, iż zastój i martwość w łonie sekcji miną ze zmianą obecnego jej zarządu po dokonaniu nowych wyborów.

Tyle uwag, nasuniętych przez sprawozdanie. W układzie ogólnym „Pamiętnika” widzimy postęp. Część sprawozdawcza nieco szczuplejsza niż zwykle i nie wypełnia tak przeważająco książki, jak w latach dawniejszych (wyjąwszy rok przeszły). Ilustracje przeważnie odbite są ładnie; szkoda jednak, że wiele z pięknych zdjęć, podanych w tekście, bardzo straciło przez reprodukcję na zwykłym papierze. Miejmy nadzieję, iż kiedyś cała część literacka „Pamiętnika” tłoczona będzie na papierze kredowym — i reprodukcje ujrzymy w pięknie właściwym.

Dział literacki rocznika jest dość urozmaicony przez artykuły z różnych dziedzin. Czyta się je z zapałem i przyjemnością. Na wstępie tylko z żalem stwierdzamy, że dzielnie zasłużony s. p. Klimek Bachle da nie został uczczony lepszym wspomnieniem, niż to zrobił p. F. Hoesick w gadatliwym opisie swoich przygód turystycznych. Ozdabiają za to „Pamiętnik” artykuły naukowe d-ra E. Długopolskiego i W. Kuźniara. Pierwszy z autorów podaje interesujące szczegóły z przeszłości Podhala i walki nieugiętych podhalań z uciskiem władzy. Referat d-ra W. Kuźniara, starannie zilustrowany, daje doskonałe pojęcie o poglądach uczonych na lodowcową przeszłość Tatr. P. M. Zaruski daje nam dwa artykuły: w jednym z nich opisuje lawiny, spadłe zeszłej zimy przy szosie do Morskiego Oka, w drugim zaś — w pięknej formie literackiej, barwnie i uczuciowo kreśli smutne wypadki przy wyprawach „Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego”. M. Śwież daje nam interesujący opis przejścia grani Mięgoszowieckich szczytów. Opisów tego rodzaju rocznik T-wa Tatrzańskiego powinienby zawierać więcej, winny być one jednak podawane w tem wydawnictwie, przeznaczonem dla szerszego

ogółu członków, w bardziej literackiej formie z unikaniem zbyt skrótowych zwrotów i zanadto specjalnych wyrażań turystycznych.

W końcu „Pamiętnika” prof. dr. W. Szajnocha umieszcza wrażenia z podróży do Szwecji. Warto, aby wszyscy członkowie i nieczłonkowie Towarzystwa Tatrzańskiego przeczytali te notatki, ażeby się przekonać, jak wysoką kulturę posiada tak niewielki naród, co się w sposób trudny do uwierzenia uwidocznia rozwojem Szwedzkiego Towarzystwa Turystycznego (liczy 50,000 członków przy 5 milionach mieszkańców); — o takiej przyszłości dla naszych towarzystw trudno marzyć nawet — zbyt wiele jest zewnętrznych przeszkód ku temu. Nasze Towarzystwo Tatrzańskie w rędzie innych towarzystw polskich niepoślednie jeszcze miejsce zajmuje, skoro przy składce rocznej dwóch i pół rubli może dawać członkom bezpłatnie okazały „Pamiętnik” oraz ulgi w schroniskach; — więcej chyba żądać nie można. Szerzyłoby tylko bardziej w jakiej-bądź formie należało wiadomość o jego istnieniu i zachęcać do poznawania naszych pięknych gór, z których każdy wynieść może tyle fizycznych i moralnych korzyści.

J. J.

□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

Z Wodzisławia (pow. jędrzejowski) donoszą do *Gaz. Kiel.*, iż istniejący tam starożytny kościół wzniesiony w r. 1620 przez Samuela Lanckorońskiego, kasztelana sandeckiego, znajduje się w zupełnej ruinie. Zbudowany z kamienia opokowego, który z biegiem lat pęka, kruszy się i sypie, kościół w wielu miejscach począł się rysować. Niedawno z gżemu nad głównymi drzwiami wejściowymi runął ogromny kamień gzymosowy, wobec czego drzwi te zamknięto; za wejście służą drzwi boczne małe. Doprowadzony do ruiny kościół obfituje w liczne pamiątki. W bocznej kaplicy południowej znajduje się ołtarz z prastarym na płótnie obrazem św. Peregryna męczennika, przedstawiający śmierć jego męczeńską. Obraz ten przysłany był przez Ojca Świętego Inocentego X w 1647 roku hrabiemu Zbigniewowi Lanckorońskiemu wraz z relikwiami tegoż świętego, złożonemi na ołtarzu w szklanej trumnie.

Fakt ten poświadczony jest legalnym dokumentem biskupa krakowskiego, Piotra Gembickiego, z dnia 17 września 1650 r., znajdującym się na ścianie obok tegoż ołtarza w ramce oszklonej.

Kolatorami świątyni, rozsypującej się w gruzy, są zamieszkali we Lwowie hr. Lanckorońscy.

TREŚĆ: St. J. Czarnowski.—Zabytki przedhistoryczne w okolicach Ojcowa i Miechowa; Al. Janowski. — Pamiątki polskie w Padwie (z 2 ryc.); H. Wiercieński.—Z przeszłości Nałęczowa; G. Smółski. — Z podróży na Pomorze (z 2 ryc.). Zabytki sztuki polskiej (z 1 ryc.).—Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki.—Z piśmiennictwa.—Kronika krajoznawcza.—Poza tekstem. Z naszych krajobrazów. 36. Krajobraz polski. Chata ukraińska, chata lubelska, zagroda podolska.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i amał Edward Gzik. — Odbijał na maszynie Władysław Kaczorowski.—Kilce wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.